

I nie chodzi tylko o najbliższych - rodziców, dziadków, rodzeństwo. Ale i o niezliczone rzesze ciotek i wujków, kuzynów bliźnich i dalszych. A podstawą wychowania była i jest skromność.

Wielkie klany polskiej arystokracji połączonych silnymi więzami krwi dbają o to, aby przetrwały silne i żywe tradycje. - Czy słowo arystokracja co jeszcze w Polsce znaczy? - zastanawia się [Marcin Zamoyski](#), syn ostatniego ordynata Ordynacji Zamojskiej Jana Zamoyskiego. W latach 90. wrócił do rodzinnej kolebki, od lat słuszcami Zamość jako prezydent. I odpowiada: - Arystokracja to dla mnie dzisiaj historia, utraciła to, co było jej wyróżnieniem, czyli majątki. Rok 1945 w Polsce zlikwidował majątki polskiej arystokracji i ci ludzie stali się takimi samymi jak reszta społeczeństwa, a niektórzy z nich znaleźli się nawet w dużo gorszej sytuacji. Wielu z nich skazano, siedzieli w więzieniach, albo wywołano ich do Rosji. Wielu wyemigrowało z kraju, nie godząc się z szykanami, jakie stosowała władza, aby tych ludzi upodlić, zniszczyć.

Maria Ponińska, siostra Marcina Zamoyskiego i żona Edwarda Ponińskiego, twardo stoi na stanowisku, że arystokracja skończyła się w Polsce w 1945 r. - Dzieci dobrze urodzonym oznacza być dobrym człowiekiem, być zgodnie z sumieniem i tak wychować dzieci, aby nasz kraj dobrze prosperował, a one mogły układać sobie życie według wzorców wyniesionych z domu - mówi Maria Ponińska.

Rok 1945 w Polsce zlikwidował majątki polskiej arystokracji i ci ludzie stali się tacy sami jak reszta społeczeństwa

W dziejach rodziny Zamoyskich jak w lustrze przejrze się może wiele polskich arystokratycznych rodów, bo jej historia, właściwie nie ta po 1945 r., jest dośc typowa. Zamoyscy zresztą spokrewnieni z większością polskich arystokratycznych rodów.

Ojciec Marcina Zamoyskiego, ordynat Jan Zamoyski, mieszkał w Zwierzyńcu - centrum ordynacji, którą prowadził już od jakiegoś czasu, gdy dziadek zaczął chorować. Dziadek zmarł w 1939 r., babcia nadal mieszkała w pałacu w Klemensowie pod Zamościem, gdy wybuchła wojna. W 1944 r. rodzina Zamoyskich ucieka ze Zwierzyńca. Jana Zamoyskiego zaaresztowano, osiem miesięcy siedział w Kielcach. Kiedy go wypuszczono, rodzina wyjechała do Sopotu.

- W Sopocie ojciec znalazł pracę w eksporcie jajek do Anglii, potem w firmie amerykańskiej, wysyłającej statki przywożącej jedzenie do krajów poszkodowanych w wojnie. Ojciec znał język, skończył SGH, znał się na zarządzaniu. To był dla nas szczęśliwy okres. Tam też na wiat w 1947 r. przyszedł oczekiwany syn, a nasz brat - Marcin - wspomina Maria Ponińska. - Rodzice prowadzili otwarty dom. Miałam wrażenie, że goście w domu byli ci głę.

Dom Zamoyskich odwiedzali wówczas księżta i hrabiowie, ale dla dzieci były to po prostu niezliczone liczby ciotek, wujków i kuzynów, bo nikt się tam nie tytułował i nie podkreślał swojego statusu. - Dochodziły słuchy, że w Warszawie dzieje się strasznie, a u nas pulsowało życie. Tata po pracy grał w tenisa, wieczorem rodzice spotykali się ze znajomymi. Pamiętam, chodziliśmy do sklepu, wtedy jeszcze prywatnego, który znajdował się naprzeciwko kościoła pod wezwaniem św. Jerzego zwanym "Gwiazdą morza" i moje dzieci zaczęły chłonąć ogromną ilość rzeczy, jaka tam wówczas w tym sklepie była. I raptem w 1949 r. sklep upaństwowili. To było niezrozumiałe, że nagle zobaczyłam puste półki - opowiada Maria Ponińska.

Szczęśliwy okres nie trwa długo - UB aresztuje w Sopocie ordynata Jana Zamoyskiego i na wiele lat zamyka go w więzieniu, oskarżając o współpracę z Niemcami, działalność w AK i szpiegostwo.

na rzecz Stanów Zjednoczonych. Wychodzi na mocy amnestii w 1956 r., a dwa lata później zostaje zrehabilitowany.

- Ojciec potem nie chciał tam jeździć, ale my, dzieci, przyjeżdżaliśmy do Zwierzyca na wakacje. Ludzie byli tu szalenie mili, doskonale pamiętali rodziców i to, jak w czasie okupacji i wojny pomagali im przeżyć. Dopiero po latach, kiedy wróciłem na te tereny w 1990 r. i rozpocząłem działalność samorządową, dowiedziałem się, że mój młody kuzyn Róża Zamoyski mieszkał w Zwierzycy nazywali "Aniołem dobroci", jest tu też szkoła jej imienia - mówi Marcin Zamoyski.

On sam jako dziecko nie zaznał już luksusów arystokracji. W domu było bardzo ciśniecie, pięć dzieci, babcia i pani Zofia Miszczak, która od niepamiętnych czasów była z rodziną, jako kucharka i pomoc domowa. - To pani Zofia najczęściej opowiadała o tamtych czasach, o tym, kto do nas przyjeżdżał, ale to było dawno temu. Tylko ona zwracała się do mamy "Pani hrabino", a do matki mojego ojca "Pani Ordynatowo". Ale ja już paniczem nie byłem - mówi Marcin Zamoyski. Do jego ojca nikt z władz komunistycznych też nie zwracał się "Panie ordynacie", no ale raz jeden z partyjnych sekretarzy, wiedząc, że ordynat to słowo, którego w słowniku komunistycznej Polski by nie można było, zwrócił się ze słowami: "Panie ordynatorze".

- Mama nie opowiadała nam o tamtych czasach. Zamknęła tamten rozdział, poszła do pracy jako pielęgniarka. Gdy ojca wsadzili do więzienia, zarzadzono też przepadek całego mienia. Wszystkie meble, łóżka, szafy stemplowane były pieczęciami "Własność Skarbu Państwa". Nie zostało nam dosłownie nic - opowiada Marcin Zamoyski. Jego mama Róża Zamoyska, już kiedy wynajęła dom w Klarysewie pod Warszawą, próbowała wykupować potem meble, ale z pamiętek, które by świadczyły o więzieniu ci rodu nic nie zostało. Pałac Błotki w Warszawie, który należał do rodziny Zamoyskich, w którym Stefan Błotki, zatrudniony jako kustosz, pisał "Popioły", zniszczono w 1939 r. Do wybuchu wojny w pałacu mieściły się wspaniałe zbiory artystyczne ze słynnej Biblioteki Ordynacji Zamojskiej. Wieszko tego wywieźli Niemcy, reszta spłonęła w popioły.

Majtek rodziny Zamoyskich był jednym z najwspanialszych i najbogatszych w Polsce. - Dziadek był osobą, która Polskę kochała. Utrzymywał rodzinę na emigracji w Paryżu, z Dmowskim i grupą Paderewskiego na czele, dla armii Hallera zakupił broń, oczywiście zaciągając kredyty. Moja babka oddawała na to swój biuterium - opowiada Marcin Zamoyski. Inne rody, jak Branicy, miały majątki i za granicą, niektórym, jak Potockim, udało się wywieźć z Polski część swoich kolekcji, ale dziadek Marcina Zamoyskiego uważał, że Polska jest jego jedynym krajem. - Uratowało się 3 proc. zbiorów z biblioteki ordynacji zamojskiej w Warszawie, to dziś najwspanialsze zbiory przechowywane jako depozyt w Bibliotece Narodowej. Reszta się spaliła. Z kolei w 1939 r. do pałacu w Klemensowie weszli Rosjanie, urządzali dwa tygodnie, i wywieźli, co było najwartościowsze. Resztę wykradli szabrownicy - opowiada Marcin Zamoyski. Co prawda w 1943 r. do pałacu wraca jeszcze babka Marcina Zamoyskiego i przyjmuje tam zakonnice, które prowadzą dom dziecka. Z dokumentów wynika, że jeszcze w 1950 r., gdy władza robiła spis przedmiotów znajdujących się w pałacu, pisano, że są "ólte łyczki" (chodziło oczywiście o złote). Pracownicy UB pisali wówczas do władz, że proszą o stół, szafę czy kanapę po Zamoyskich, bo nie mają. I dostawali.

Marcin Zamoyski po latach dotarł do dwóch takich osób, prosząc ich, żeby chciały odkupić rodzinne meble. - jeden odsprzedał mi stół karciany, ale już krzesła, na których pozostały lądy po wydłubanym herbie, sprzedać nie chciał. Drugi oświadczył, że wszystko, co miał, gdzie przepadło - wspomina. Uratowało się kilka obrazów, są w muzeum w Zamościu, chorągwie spod Wiednia ma [muzeum w Krakowie](#), a kilkadziesiąt księzek, najwspanialszy zbiór polskich rękopisów literatury w

Bibliotece Narodowej. - Mama nigdy nie powiedziała, że kto nam co zabrał, w jej słowniku nie było słowa nienawiść. Uważała, że człowiek jest prawdziwie wolnym wtedy, kiedy przebacza. I tak nas wychowywała - zupełnie zwyczajnie - przypomina Marcin Zamoyski. Jak i inne dzieci chodziły do państwowych szkół, kilka kilometrów pieszo, jako rodzestwo podobno się tłukli, ale te bardzo kochali i nie wyobrażali sobie, żeby kogo z nich zabrakło. Byli wychowywani w szacunku do dorosłych, ludzi starszych i rodziców. - Dzieci przy stole siedziały na szarym kołcu, a odzywały się tylko wtedy, kiedy zostały o to poproszone - u miecha się do wspomnień Marcina Zamoyskiego. Dziś cztery siostry Marcina Zamoyskiego mieszkają w Warszawie i tu na pewno się spotykają wszyscy razem. W tym roku do wigilijnego stołu zasiądzie prawie 60 osób!

Choć o arystokracji mówi się, że woli trzymać się razem, w swoim rodowisku, i w nim też szuka sobie oparcia, to u Zamoyskich nie aranżowano małżeństw, nie starano się układać dzieciom życia - każda z nich miała odpowiadać za swoje. I szli za głosem serca. Gabriela, kolejna siostra Marcina Zamoyskiego, wyszła za męża Marcina Bogusławskiego, który był pasierbem Witolda Lutosławskiego, ale sam nie posiadał tytułu. - A zatem i ja nie mam już możliwości uzyskania tytułu hrabiowskiego, choć nie ma to dla mnie znaczenia - mówi Gabriela Bogusławska. Ale, jak podkreśla, ma dla niej znaczenie to, że jej rodowe nazwisko Zamoyska jest pozytywnie zapisane w historii. A przecież nie wszystkie rody arystokratyczne w Polsce mają takie piękne karty. - To prawda, arystokracja zniknęła po 1945 r., ale wróciła w 1990 i mam wrażenie, że wróciła z dużym przesadą. W czasach komuny przyznawanie się do korzeni nie było mile widziane, ale potem ludzie mieli potrzebę tytułowania się, szukania na gwałt dowodów na pochodzenie szlacheckie i to czasem bywało wręcz mieszne - mówi Gabriela Bogusławska. Ona w latach 70. za mężem wyemigrowała do Norwegii. Przez 35 lat mieszkali w Oslo, wychowali trzy córki, a Gabriela zajęła się działalnością charytatywną dla Polaków. Stworzyła pierwszy ośrodek polonijny, polską bibliotekę, a o jej domu w latach 80. mówiono, że to nieformalna polska ambasada, hotel albo i schronisko, bo tam pomoc dostawali wszyscy Polacy, którzy zjawiali się po stanie wojennym. W latach 90. Polacy zwrócili się do ambasady o przyznanie Gabrieli Bogusławskiej odznaczenia za jej działalność. I odznaczenie podpisane przez Lecha Wałęsę ma dla niej wielką wagę. Potem na studia przyjechały młodsze, więc i my tu wróciliśmy - opowiada Gabriela Bogusławska. Trochę brakuje jej tamtej działalności, a że jest kobietą aktywną, to i w Polsce zaangażowała się w pracę w Fundacji Jana Jerozolimskiego i w pomoc dla domów dziecka. - Córki nie miały wyjścia, te musiały wejść na drogę pracy społecznej, od dziecka były w to zaangażowane. Kiedy trzeba było przygotować dla polskich dzieci w Norwegii paczki na mikołajki, siadały ze mną i razem pakowały słodczyki - u miecha się Gabriela Bogusławska.

*Kiedy różnice majątkowe wyznaczały, kogo zapraszało się do pałacu, z kim utrzymywało się **znajomości** i kogo zapraszało na bale. Dziś **polaska arystokracja** nadal trzyma się razem, ale wtopiła się w społeczeństwo*

Mimo że córki Gabrieli nie miały przez lata kontaktu ze swoim pokoleniem z **rodowiska** arystokracji polskiej, to po powrocie do Polski szybko ten kontakt złapały. Ale mężów nie szukały sobie w gronie arystokratów. Może dlatego, że w Norwegii w ogóle nie ma arystokracji i nikt tam do tego nie przywiązuje znaczenia. - W Polsce rodzice z tego **rodowiska** zapisywali dzieci do Klubu Inteligencji Katolickiej, wyjeżdżali razem na obozy, zawiązywały się w ród, nich przyjaźniło ci. Podobne wychowanie, wzorce, warto ci ułatwiać póki młodym wspólne życie, ale dla mnie liczy się ten sam człowiek, nie tylko z jakiej rodziny pochodzi, ale i co sobą reprezentuje - zaznacza Gabriela Bogusławska.

Wśród innych rodów, u Radziwiłłów czy Czartoryskich, tradycja jest spotykana na wakacjach. Dzieci zaczynają od mszy w tej, bo nadzwyczaj silną w ich rodzinie jest tradycja katolicka. A wieczorami z ust do ust przekazywane są historie i anegdoty rodzinne.

Kolejną okazją do podtrzymywania rodzinnych więzów są bale, a najwielkimi z nich Bal Czartoryskich, organizowany w karnawale. Wynajmują wtedy wielkie sale w SGGW i te imprezy, w otoczeniu dyskretnego uroku balowych toalet, mają do swobodnej formy. Ale najważniejsze to, że bal jest przedsięwzięciem charytatywnym, a pieniądze z niego przeznaczają na pomoc dla dzieci niepełnosprawnych. Gdy dodać do tego wszystkie rodzinne lubości, chrzty, imieniny, urodziny, rocznice lubów, to widać, że kalendarz spotkań wypełniony jest po brzegi. I to podkreśla - te relacje między nimi są bardzo głębokie i starannie utrzymywane nawet wobec dalekiej rodziny. Na tym polega kulturowanie więzi - chcą być ze sobą blisko, interesować się sobą nawzajem. Po to jest rodzina.

Kult pracy społecznej to kolejna cecha dzisiejszych arystokratów. Maria Ponińska od 1981 r. przykościele Ojców Jezuitów dysponuje w punkcie charytatywnym, którego celem jest pomoc biednym, bezdomnym. Tu wydaje się im ubrania i jedzenie.

Kiedy w Polsce upadł komunizm, na początku lat 90. mieszkańcy Zamościa i okolic zwrócili się do syna ostatniego ordynata - Marcina Zamoyskiego, aby wracał i kandydował do samorządu. - Broniełem się przed tym. Byłem artystą, operatorem filmowym, administracja, urząd to była ostatnia rzecz, o której bym pomyślał. Ale był zryw w narodzie, odzyskali my wolność, nie można stać z boku, trzeba się w to włączyć - opowiada o swoich motywacjach. Potem zdecydował kupić gospodarstwo, jakie należało do jego ojca. Stanął do przetargu, wylicytował.

Wiele rodzin szlacheckich wyjechało z Polski zaraz po wojnie, wywołały te swoje dzieci. Dziś czują się odciętymi od korzeni, swojej to samo ci i nie bardzo wiesz, gdzie mają swoje miejsce w świecie

- Historia zatoczyła koło i syn ziemi Zamoyskiej wrócił na Zamojszczyznę - mówi, ale Marcin Zamoyski ostro nie traktuje zwrot "sprawiedliwie dziejowa". - Wszyscy byliśmy przyzwyczajeni do służby dla ojczyzny, dla której czasem trzeba poświęcić nawet rodzinę. Ale na moich oczach widzę, jak zakłady mojego ojca, które potem i w komunie prosperowały, te wszystkie tartaki, cukrownie, młyny, które dawały pracę ludziom, przez ostatnie 24 lata niszczały i dziś nie ma po nich śladu. Nie oddano ich włącznie cicielom ani nikomu, kto chciałby je ratować. Podobnie jest z pałacem mojej babki w Klemensowie - stoi pusty i zamienia się w ruinę - mówi ze smutkiem.

Kiedy to rólnice majątkowe wyznaczały, kogo zapraszało się do pałacu, kogo przyjmowało się na balach. Dziś polska arystokracja nadal trzyma się razem, ale wtopili się wszyscy w społeczeństwo i zajmują się najróżniejszymi zajęciami.

- Mamy normalnie pracować, ubiega się o stanowiska, które kiedyś były dla partyjnej nomenklatury, teraz słyszy się, że niektórzy pracują w MSZ, Konstanty Radziwiłł był szefem NFZ i wiceministrem zdrowia, drugi Radziwiłł siedzi w banku w Nowym Jorku - wylicza Marcin Zamoyski. Ale cech, która ich łączy, jest wiadomo, że noszenie nazwiska, które złotymi zgłoskami zapisało się w Polskiej historii, jest wielką odpowiedzialnością.

Artykuł **Anity Czupryn** z Polska The Times z 2013-12-15